

Leon Daudet.

# Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłum. Marya Jadwiga Migowa).

16

## ROZDZIAŁ V.

### Zatruta strzała.

— Nie, nie, błagam cię, nie dzisiaj!

Marion usunęła łagodnie rękę Klaudyusza, a czytając zdziwienie w jego wyrazistych oczach, dodała:

— Franciszek odjechał tej nocy na linię bojową. Trzeba mi bardziej tkliwości niż namiętnej miłości. Pocieszaj mnie, ty tak przekonująco umiesz pocieszać.

Usiedli obok siebie, jak stare małżeństwo. Na dworze silny wiatr jesienny wstrząsał drzewami Paryża.

Kochankowie mieli takie uczucie, jakby im coś zagrażało. Doktor, zamiast mówić o Franciszku, który go zresztą interesował tylko jako narzeczony Janki, wspominał o swej żonie, zadziwiającej go od pewnego czasu zmianą w zachowaniu i usposobieniu.

Wiesz, jak bardzo była zazdrosna. I nagle to ustało. Grantouvre nadmienił mi kiedyś, że Ginetta podejrzewa mnie i ciebie, że powinniśmy być bardzo ostrożni. Zachowywałem wszelkie możliwe środki ostrożności. Obecnie okazały się one zbędne. Nasze małżeństwo jest przystanią spokoju i gdyby nie jej brzydota i ten śmiech wstrętny, to mógłbym powiedzieć, że jest wcale miłe.

— Ona coś przygotowuje — odparła Marion — taka przemiana nie jest bez powodu. Musiała coś odgadnąć, zaobserwować, wysledzić!

— Zrozumiała, że ja mam sentyment dla ciebie. Daleka jest od tej myśli, że możemy być kochankami. O ile ją znam...

Marion nie pozwoliła mu dokończyć. Wdzięcznym ruchem oparła głowę o ramię kochanka i zaszeptała pieszczotliwie:

— Tak mi dobrze... Nie myśl już o twojej megerze. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy małżonkami, że wszystkie godziny dnia i nocy należą do nas... Nie mów nic... Chcę marzyć...

Posłusznie umilkł, z rozkoszą spoglądając na rozmarzoną, anielsko uśmiechniętą twarz ukochanej kobiety. Wreszcie po długiej chwili odezwał się:

— Marion...

— Klaudyuszu...

— Powiedz mi szczerze, nie żałujesz niczego?

— Niczego. Nie mam już nawet skrupułów. Zniknęły. Zrozumiałam, że popychała nas ku sobie przemożna siła, której oprzeć się niepodobna.

— I nie opieraliśmy się nawet! I czyż mogło być inaczej! Moje serce przyzywało cię tak namiętnie, że doprawdy dziwię się czasem, że inni tego głosu miłości nie posłyszeli. Jak sądzisz, czy gdyby nie wojna, nie zaginięcie... — nie wymienił imienia — to zbliżylibyśmy się do siebie?

— Później być może, ale napewno zbliżenie musiało nastąpić — wyrzekła z wielką mocą przekonanie Marion — więcej byłoby trosk i waśni, ale to stałoby się. Nasz stosunek, najdroższy, nie banalną awanturką miłosną, wieżą z piasku, którą wiatr rozwiewa, piosenką, która przebrzmi, zastąpiona przez inną piosenkę. To jest wielka i tajemnicza realizacja czegoś najgłębszego w naszej wewnętrznej istocie. To grzech bezwątpienia, ale różny od grzechów

powszednich. Rozświeśla go promień przeznaczenia.

W ten sposób rozmawiali ze sobą, ufnie, przytuleni do siebie, jak dwoje dzieci.

Ton ich rozmowy stawał się poważny i nabierał dziwnej słodyczy.

Perspektywa kontaktu duchowego łącznie z posiadaniem cielesnym budziła w nich uczucie błogiej nadziei, jaka zwykle udziałem jest suchotników na kilka godzin przed śmiercią.

Dosyć, czas pożegnać się — rzekła w końcu Marion. — Puść mnie, Klaudyuszu, proszę cię, już późno.

Naznaczyli sobie następne rendez vous i rozłączyli się. Marion, wychodząc z domu przy ulicy des Ombres, uczuwała jakiś lęk nieokreślony. Zdawało się jej ciągle, że ktoś idzie za nią. Szła szybko, biegła prawie i oglądała się poza siebie co kilkanaście kroków. Nikt jednak nie ścigał jej, chyba tylko jej własna dola.

Spotkawszy tasci-auto, wsiadła i kazała wieźć się do domu. Stróżka oczekiwała na nią w bramie.

— Proszę pani Listonosz przyniósł tę kartkę! Niechaczą przeczytałam... Ach, Boże!... Pani!... pani!... Co za szczęście!... Co za szczęście!... Bogu dzięki!...

Był to krótki formularz na kartce pocztowej, przybyłej z Niemiec, z obozu jeńców w Schultzen. Zawierał lakoniczną wiadomość, że kapitan artylerii. Ksawery Darmelle, żyje i zasyła pozdrowienia rodzinie. Pieczęć miała datę 1 września 1915 roku. List wędrował zatem przez kilka tygodni.

— Och! Tak, co za szczęście! — powtórzyła Marion.

Wyrok śmierci nie przeraziłby jej mocniej niż to „szczęście”. A jednocześnie wyobraziła sobie radość, jaką napelniałaby ją ta nowina, otrzymana o siedem miesięcy wcześniej. Gdyby wówczas... ach!... A teraz ta straszna komedia, którą grać trzeba wobec syna, wobec matki i teściowej, wobec wszystkich przyjaciół i znajomych...

Serce zamierało poprostu w Marion. Obraz Ksawerego umarłego macił nieraz pogodę jej ducha, ale obraz Ksawerego realnego, żyjącego był stokroć więcej przerażający.

Wchodząc na schody, powtarzała sama do siebie:

— To nad moje siły!

A jednak zdobyła się na pozory radości i efekt tej komedii od razu wypróbowała na swej pokojówce.

— Fanny, pomyśl, pan żyje!... Ach, doprawdy nie wiem co się ze mną dzieje!... Już przestałam się spodziewać!...

Fanny podniosła ręce do góry z okrzykiem:

— Boże! Czy to możliwe! Biedny, kochany pan!...

Trzymając wciąż kartkę w ręku, Marion zawołała:

Mamo, mamo!

— Jestem, co się stało?! — zapytała pani Lebien, ukazując się we drzwiach z warkoczem w ręku, którym właśnie przyodzabiać miała swoją fryzurę.

— Czytaj, mamo!...

Czuła teściowa pobladła. Zdawało się jej, że już na zawsze pozbyła się nie milego zięcia, a tu nagle on powracał jak duch Banka. Uważała to za jedną więcej złośliwość z jego strony.

Zepanowała wszakże nad swoim gniewem i ściągnawszy wargi, wyrzekła:

A zatem musisz być zadowolona. Trzeba zawiadomić jego syna i jego matkę.

Mówiąc to nie odejmowała od twarzy córki badawczego spojrzenia. Albowiem w ostatnich czasach poczyniła spostrzeżenia, które jej dużo dały do myślenia.

Marion czuła tę ciekawość matczyną. Nie

wiedziała co powiedzieć dalej, jak się zachować, bo zrobiła tylko to, co jej pozostawało do zrobienia. Rozpłakała się. Ten płacz jej był tak szczery, tak pełen nieukrywanej żalości, że twarz pani Lebien rozchmurzyła się nieco.

— Moja biedna mała, moja droga mała — powtarzała sędziwa dama, gładząc ręką włosy i skronie córki.

Pani Lebien oczekiwała formalnego wyznania. Ale Marion nie miała ochoty zwierzać się. Jednak i bez słów matka i córka zrozumiały się. Była to pewna ulga dla teściowej Ksawerego Darmelle. Zauważyła z westchnieniem:

— Oto najgorsza rzecz w tej okropnej wojnie! Niewiadomo, kto zginął, a kto żyje.

I z okrucieństwem dodała:

— Kto wie, w jakim stanie on do nas powróci!...

Niezdolna już dłużej do ukrywania swej wściekłości obróciła się na pięcie i odeszła.

— Gdyby Klaudyusz był tutaj, powiedziałby mi: „bądź silna, zobaczymy, co będzie...”

Wspomnienie o Klaudyuszu przywróciło Marion trochę odwagi. Natychmiast zarządziła co należało: do Ginetty wysłała list przez posłańca, do Franciszka zaś telegram.

— Jaki on będzie uszczęśliwiony! On tak kocha ojca! Dobry, drogi chłopiec!

Następnie należało nie zwlekając zawiadomić matkę Ksawerego.

Siedząc „w metro”, który ją wiózł na ulicę d'Assas, Marion przypominała sobie jak to kilka miesięcy temu składała wizytę „grabarce” w celu wręcz przeciwnym. I znowu myśl o Klaudyuszu uderzyła o mózg młodej kobiety, która tak nagle i niespodzianie przestała być wdową. Wszak dla Klaudyusza to będzie straszliwy cios.

Zadanie Marion zostało uproszczone faktem, że pani Darmelle dostała tą samą pocztą kartkę z obozu jeńców w Schultzen. Jej radość szczerą, istotnie wielką była jednak zamucona przez tę ustawiczną potrzebę lamentów i żałoby.

Ochłonawszy z pierwszej uciechy pomyślała zaraz o tem, że trzeba będzie zdjąć żałobę i odrzucić krepe, przysyłającą portret Ksawerego. Tak była temi myślami zajęta, że zupełnie uszło jej uwagi pomieszenie synowej.

Pani Darmelle ucałowała Marion kilka razy, zlewając jej policzki łzami wielkimi i okrągłymi jak groch.

Wzdychała przytem:

— W kartce nie ma nic o stanie jego zdrowia. Oby tylko nie był chory, oby to nie było ostatnie posłanie od umierającego. Bo formularz nie jest wypełniony jego ręką. Chyba, że pismo zmieniło mu się.

Porównała obie kartki. Trzy wiersze nerwowo nakreślone, stanowczo były dziełem jednej i tej samej ręki. To było pismo Ksawerego tylko zmienione albo umyślnie lub pod wpływem jakiegoś silnego zdenerwowania.

„Grabarka” wysnuła od razu z tego wnioski o udęczeniach, jakich doznają jeńcy, o żywieniu niewystarczającym, a pani Marion słuchała tego wszystkiego, myśląc o czem innym i potakując machinalnie. Kiedy jednak pani Darmelle, zakończywszy lamentacje nad synem, była wywodzić je nad wnukiem i spłacać mu już wieniec grobowy i ubolewać nad „kochaną młodzieńką narzeczoną”, Marion podskoczyła, podrażniona i dotknięta boleśnie w swej miłości macierzyńskiej.

— Dosyć, mamo! Nie mówmy o tem! Takie biadanie może przynieść nieszczęście tym dzieciom!...

— Nieszczęście! — wykrzyknęła pani Darmelle już zgoła innym tonem. — Czyż przyniosłam nieszczęście ojcu Franciszkowi!

(Ciąg dalszy nastąpi).

